W warszawskiej Agrykoli

Agrykola - jeden z najpiękniejszych zakątków przedwojennej Warszawy. U podnóża wysokiej, porośniętej bzami i akacjami skarpy rozciągały się tonące w zieleni korty Lawn Tennis Clubu. W 1961 roku odbył się tu pierwszy turniej o mistrzostwo Polski dziennikarzy. Dzisiaj nie ma już klubów o takiej urodzie. Tam, gdzie dawniej były korty, stoją potężne żelbetonowe przęsła Trasy Łazienkowskiej, a w miejscu, gdzie był domek klubowy, jest pijalnia piwa. Pozostały tylko wspomnienia...

„Ojcem chrzestnym" pierwszych mistrzostw dziennikarskich był pan Miecio Jelonek, postać barwna i popularna w warszawskim światku tenisowym. Syn chłopski spod Łowicza przyjechał do stolicy w latach trzydziestych w poszukiwaniu pracy. Imał się różnych zawodów, m. in. rozwoził gazety po mieście, podawał piłki na sejmowych kortach. Pewnego dnia sam wziął rakietę do ręki i okazało się, że jest samorodnym talentem. Zaczął grywać z klientami na pieniądze, szybko stał się partnerem Antoniego Słonimskiego, Witolda Gombrowicza, Stanisława Dygata. Z tego okresu datowała się jego słabość do ludzi pióra, ale też trzeba przyznać, że ci z kolei lgnęli do niego. Po wojnie, kiedy został gospodarzem kortów w Agrykoli, grywali u niego Leopold Tyrmand, Witold Zalewski, Sławomir Mrożek, Zbigniew Lengren. Powstał klub towarzyski pod szyldem TKKF, w którym stale bywali pisarze, aktorzy, dziennikarze, przedstawiciele prywatnej inicjatywy i dyplomaci. A były to czasy, w których - jak pisał Wojciech Młynarski - „jeśli ktoś grał w tenisa, jeździł na nartach, a do tego jeszcze słuchał jazzu, to znaczyło, że facet jest w porządku."

Na swe nieszczęście pan Miecio miał duszę bookmachera, co sprawiło, że Agrykola stała się jaskinią hazardu. Podobnie jak w starych angielskich klubach grało się tu tylko na pieniądze. Po Warszawie zaczęły krążyć plotki o niezwykłych zakładach. „Express Wieczorny" publicznie napiętnował tenisową melinę, pisząc, że prowadzi się tu także nielegalny handel wódką. Wybuchł prawdziwy skandal i przez kilka miesięcy sprawą zajmowała się NIK. Jednak nasz bohater cało wyszedł z opresji i afera została zatuszowana. Aby być w zgodzie z prawdą, trzeba dodać, że u pana Miecia można było kupić prawie wszystko: najnowsze modele rakiet Dunlopa, koszulki Lacoste`a prosto z Paryża, wiejską kiełbasę, dolary i kawior, ale handlem

Otwarcie turnieju. Drugi z prawej stoi mistrz Polski dziennikarzy Zbigniew Wojtowicz.

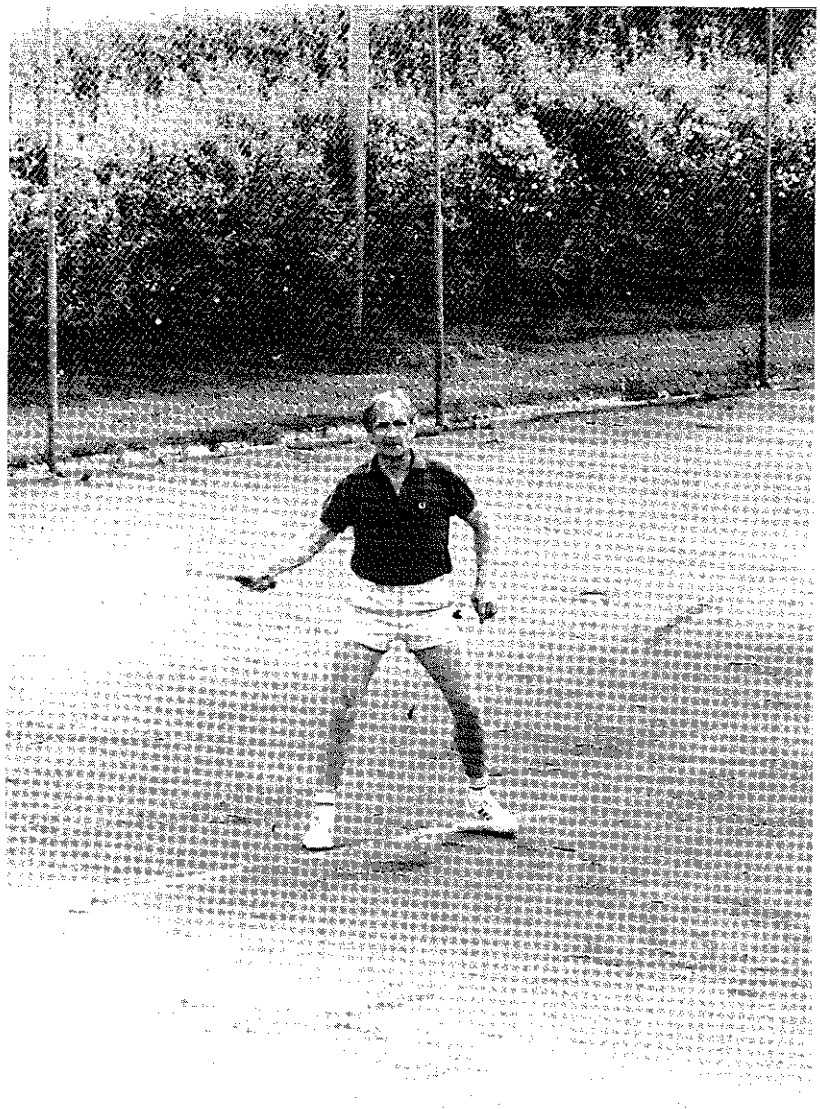

Korty Agrykoli. Na zdjęciu Jerzy Kowalski - wielokrotny finalista turnieju.

wódką nigdy się nie splamił. Chociaż wygląd miał taki, że wydawało się, iż nieustannie jest po kilku głębszych. Leopold Tyrmand, który w tym czasie pisał „Złego", miał wielką ochotę uczynić pana Miecia bohaterem swej następnej powieści. Wielka szkoda, że nie zdążył tego zrobić.

Czytelnik z pewnością zapyta, dlaczego tak wiele miejsca poświęcam zwykłemu kortowemu, którego nazwiska nie ma w żadnym oficjalnym wydawnictwie PZT ani kronice sportowej. Bo gdyby nie jego chłopski upór i spryt, piękne korty w Agrykoli zarosłyby trawą. Być może nie byłoby także naszego turnieju.

Tak więc „u Jełonka", latem 1961 roku, odbyły się pierwsze mistrzostwa. Pogoda była piękna, słoneczna. Po zakończeniu gier pojechaliśmy wszyscy „do dziennikarzy" na Foksal. O części recepcyjnej pisze szerzej na sąsiedniej kolumnie bywalec warszawskich salonów red. Jerzy Iwaszkiewicz. My dodajmy tu tylko, że w pierwszym turnieju otrzymał on dyplom „Za fryzurę a la Fanfan Tulipan", a red. Stefan Grzegorczyk w pięknym futerale Slazengera znalazł zamiast rakiety patelnię. Zabawa była przednia.

Ale było też sporo dobrego tenisa. Pierwszym mistrzem został Zbigniew Wojtowicz ze „Sportowca", uczeń trenera Zbigniewa Bełdowskiego. Po dziś dzień starsi kibice wspominają jego piękny, klasyczny tenis. A zasłużyć na taką opinię w owym okresie, kiedy na kortach występował jeszcze Władysław Skonecki, nie było łatwo. W latach pięćdziesiątych Zbyszek Wojtowicz był w czołówce najlepszych zawodników młodego pokolenia w Polsce, ale nam, amatorom, nigdy nie dał odczuć swej wyższości. W pojedynkach ze słabszymi i starszymi przeciwnikami zawsze zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Ciężka choroba spowodowała, że musiał rozstać się z tenisem. Nie ma także wśród nas pierwszej mistrzyni Krystyny Progulskiej. Lwowianka, wszechstronnie utalentowana sportsmenka - reprezentantka Polski w siatkówce, mistrzyni świata dziennikarek w narciarstwie grała też w tenisa. Z braku przeciwniczek często grywała z mężczyznami i niejednemu z kolegów porządnie przetrzepała skórę. Grywał też red. Bohdan Tomaszewski, który w latach powojennych należał do czołowych zawodników w kraju. W debłach chętnie występował Jan Strzelecki, który potem rzucił tenis dla nart.

Turnieje były wydarzeniem nie tylko sportowym, ale także towarzyskim i miały swych wiernych kibiców. Spory na kortach rozstrzygał Janusz Kapczyński, w tamtych latach najlepszy sędzia PZT, na trybunach byli zawsze „prezes" Wacław Szabłowski, Benio Szymański - niezwykle barwna postać w tenisowym światku, zawołani hazardziści Józek Kossakowski, Ryszard Wiernicki i Wiesław Górski, zawsze gotowi przyjąć zakłady, kto wygra. Gdyby Tyrmand dotrzymał słowa, i dla nich z pewnością znalazłoby się miejsce w jego powieści.

Ale niebawem trzeba było rozstać się z pięknymi kortami w Agrykoli i panem Mieciem. Rozpoczynały się przygotowania do budowy Trasy Łazienkowskiej. Turnieje dziennikarskie przeniosły się do Poznania. Ich organizację przejął znany ze swej energii Stanisław Garczarczyk. Był to okres, kiedy zaczęła świecić wielkim blaskiem gwiazda Wojciecha Fibaka. Fibak nie unikał dziennikarzy, przeciwnie - zawsze szukał z nimi kontaktu. Kibicował, a kiedy trzeba było, sam siadał na stołku sędziowskim. Poznańskie turnieje, rozgrywane na kortach Olimpii, AZS czy Warty, kończyły się rautami w ratuszu.

W mistrzostwach wystartowali młodzi, świetni zawodnicy, którzy w następnych latach odnosili zwycięstwa w turniejach: Andrzej Karczewski, Karol Stopa, Zbigniew Weseli, Andrzej Cieślak, Mirosław Popczyk. Skończyły się żarty i zabawa, zaczęła się ostra rywalizacja. Na horyzoncie pojawiły się bowiem możliwości wyjazdów zagranicznych. Dzisiaj może to trudno zrozumieć, ale wówczas chęć wyrwania się w świat sprawiała, że w kąt szły wszelkie obowiązujące dotychczas zasady. Mnożyły się protesty i wprowadzanie do turnieju ludzi przypadkowych, nie

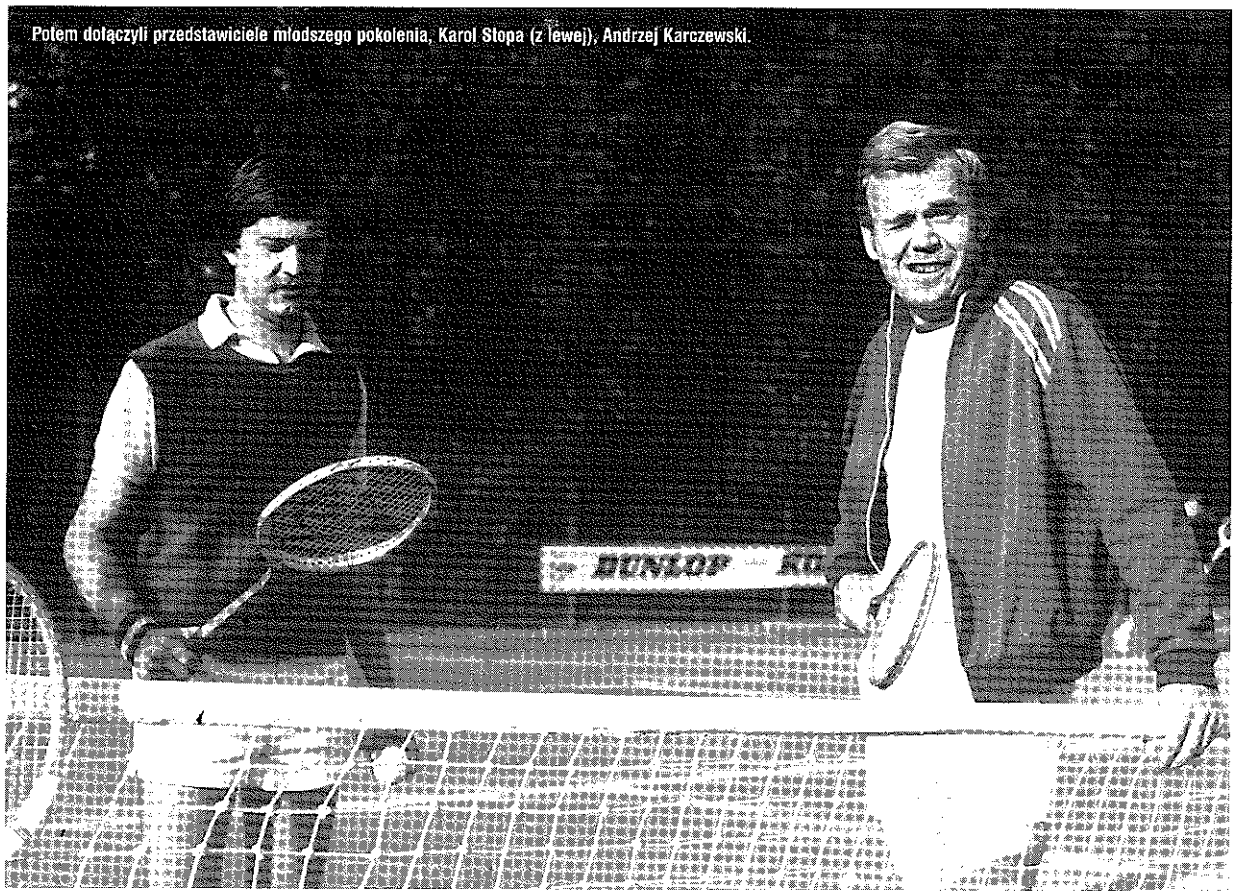

Potem dołączyli przedstawiciele młodszego pokolenia, Karol Stopa (z lewej), Andrzej Karczewski.

mających nic wspólnego z dziennikarstwem.

Wyjazdów i kontaktów zagranicznych było coraz więcej. Rozegraliśmy pierwsze mecze z Włochami w Warszawie, z Węgrami w Krakowie, ze Szwedami w Malmoe i Goeteborgu. W 1976 roku w Szczecinie odbył się trójmecz Polska-Szwecja-Berlin Zachodni, zakończony zwycięstwem polskiej drużyny. Zrodził się projekt zorganizowania zawodów międzynarodowych.

Pomysł doczekał się realizacji w 1978 roku. W Wenecji odbyły się pierwsze tenisowe mistrzostwa świata dziennikarzy. Z inicjatywy Włoch i Polski powołane zostało Międzynarodowe Stowarzyszenie Dziennikarzy Tenisistów (AITJ), na czele którego stanął Włoch Elio Marsano. Elio był człowiekiem o wspaniałym poczuciu humoru w życiu codziennym i na korcie, był także wielkim przyjacielem Polaków.

Od początku marzyło się nam, aby w przyszłości podjąć zagranicznych kolegów w Polsce. Na następne mistrzostwa w 1979 roku na Sycylię udał się więc specjalny wysłannik prezydenta Poznania z oficjalnym zaproszeniem, zgłaszającym kandydaturę Polski do organizacji mistrzostw świata w 1980 roku. Niestety, nie wzięliśmy pod uwagę faktu, że poznaniacy nie lubią wydawać pieniędzy. Prezydent miasta sądził, że koszty pokryje Wojciech Fibak, a Wojtek liczył na prezydenta. Impreza nie miała żadnego pokrycia finansowego i wniosek trzeba było szybko wycofać. Aby ratować sytuację, rozpoczęliśmy rozmowy w Warszawie, w ówczesnym GKKFiT. Właśnie niedawno oddano do użytku piękny hotel Orbisu w Mrągowie z kortami tenisowymi. Czy może być lepsza promocja Warmii i Mazur niż międzynarodowe spotkanie dziennikarzy? Dyrekcja Orbisu i władze sportowe przychylnie ustosunkowały się do propozycji. Ale znów pech! W ramach reorganizacji resortu nastąpiło rozdzielenie sportu i turystyki, zlikwidowano GKKFiT i upadł też projekt mistrzostw w Polsce.

Srogi zawód sprawił nam Poznań, sparzyliśmy się na kontaktach z władzami państwowymi, więc postanowiliśmy nawiązać kontakt z - jak to się wówczas mówiło - sektorem prywatnym. Najprężniejszą wówczas firmą w kraju był Konsuprod. Jej właściciel Jan Wejchert, sam również grający w tenisa, z entuzjazmem podszedł do pomysłu. W 1981 roku na turniej do austriackiego Poertschach pojechała z nami 5-osobowa delegacja Konsuprodu, podpisaliśmy wstępne porozumienie z udziałem radcy prawnego SDP, ale przyszedł stan wojenny i znów trzeba było odwoływać mistrzostwa w Polsce. Jakiś dziwny pech towarzyszy tej imprezie. Może w 2002 roku w Szczecinie uda się wreszcie sfinalizować nasz projekt.

Ale wróćmy na krajowe korty. W latach osiemdziesiątych mistrzostwa przeniosły się na Śląsk, a to za sprawą dziennikarza katowickiego „Sportu"

Sędzia i uczestnik turniejów Janusz Kapczyński.

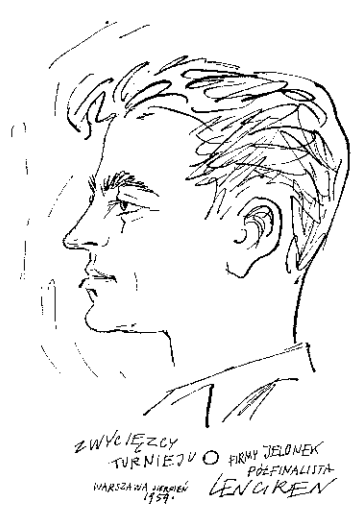

Czesława Ludwiczka, który choć sam na korcie nie odnosił sukcesów, był wielkim entuzjastą tego sportu. Potem turnieje wędrowały po całym kraju - odbywały się w Sopocie, Szczecinie, Koninie, Lublinie, Zamościu i Krakowie. Odbywały się też co pewien czas w Warszawie na kortach Legii, Spójni, AZS, Elektryczności, na Sadybie i w Piastowie. Wiele miłych wspomnień wywieźli uczestnicy zawodów z Lublina, gdzie w roli gospodarza wielokrotnie występował Andrzej Wawrzycki, z Zamościa, gdzie byli podejmowani przez Janusza Kawałko, z Konina, do którego zapraszał Zbigniew Iciaszek, i gościnnego Krakowa, w którym od kilku lat odbywają się turnieje organizowane przez Janusza Zielonackiego.

Po czterdziestu latach mistrzostwa powróciły do stolicy. Zostaną rozegrane w dniach 10-12 sierpnia na kortach Warszawianki. Wśród zgłoszonych są także uczestnicy pierwszego turnieju, w tym także autor hasła „Zimą narty, latem tenis" Adam Choynowski, co jest najlepszym dowodem, że tenis pozwala utrzymywać się w formie przez długie lata.

ZBIGNIEW CHMIELEWSKI

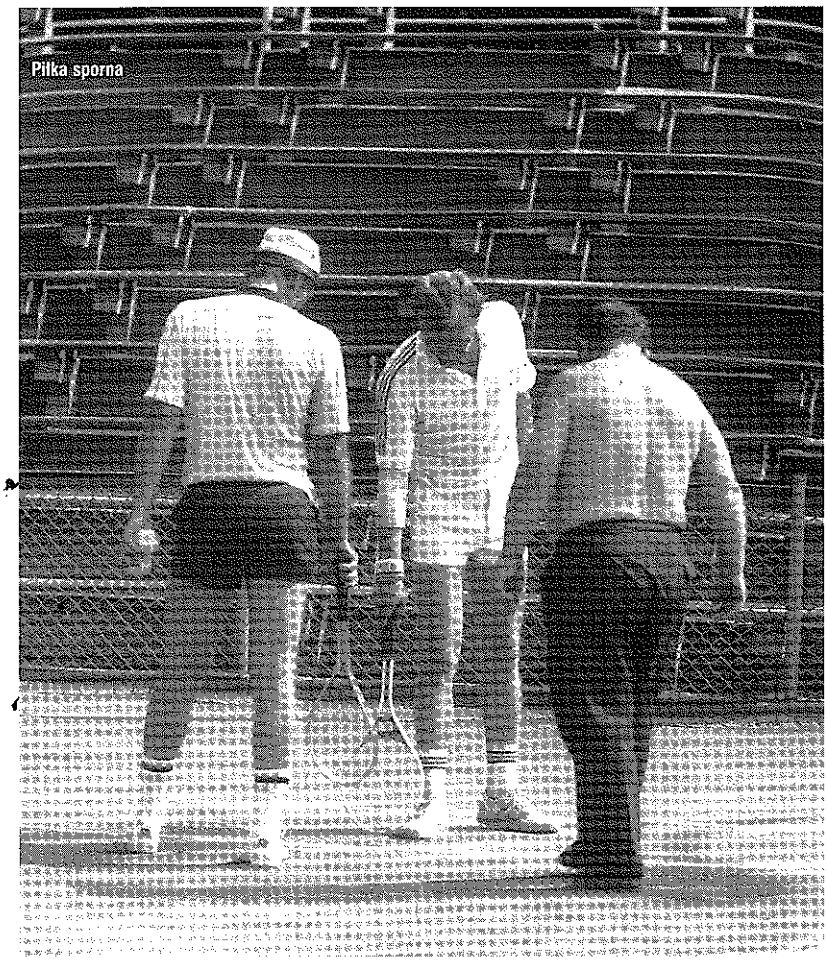

Piłka sporna

Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej

- największa organizacja kultury fizycznej w Polsce

- sport, rekreacja, wypoczynek

- profilaktyka zdrowotna

- TKKF organizatorem imprez dziennikarskich

„Kaczka" na kortach

Zbigniew Chmielewski, naczelny redaktor tego wydawnictwa i mój odwieczny rywal narciarski, zaproponował, abym opisał tenisowy turniej dziennikarzy z roku 1961. Było to czterdzieści lat temu, a w Agrykoli były jeszcze korty, a nie - jak obecnie - 65 barów z piwem i zapiekanką. Kortami zarządzał niezapomniany pan Jelonek, człowiek poważny, myśmy się martwili, że się chwieje ze starości, a to było, na szczęście, tylko od gorzały.

Byłem wtedy prezesem ogniska TKKF Kaczka przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich i - jak każdy prezes - miałem poważanie u kelnerów. Niezapomniany pan Orłowski, który był człowiekiem bardziej hojnym od wszystkich obecnych fundacji charytatywnych, bo wszystkim dawał na kredyt, więc pan Orłowski mówił do mnie „panie prezesie" i od razu przynosił dużą flaszkę, aby dwa razy nie biegać.

Turniej był poważnym wydarzeniem towarzyskim. Pojawiło się na kortach wielu aktorów i pisarzy, bardzo dużo różnych panienek, ale dyplom za najładniejsze nogi otrzymał Andrzej Roman, który dopiero później został łysy.

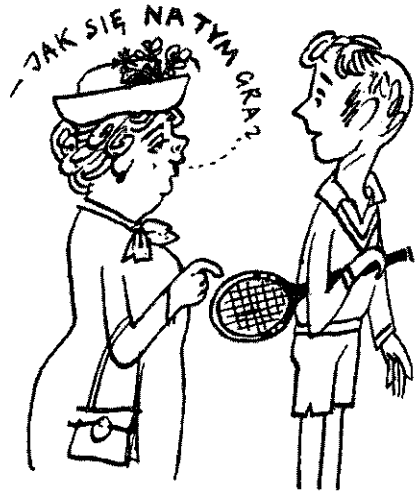

Rys. Zbigniew Lengren

Był wśród nas red. Bohdan Tomaszewski. Budził powszechny zachwyt i każdy z nas mu zazdrościł. Pan Bogdan zawsze lepiej mówił, niż pisał. Do dziś jest wszakże najlepszym i niepowtarzalnym sprawozdawcą radiowym. Zawsze potrafił stworzyć nastrój. Słuchała go cała Polska. Słuchałem ja także ostatnio. Nikt się do niego nie umywa.

Nagrodą w turnieju była żywa kaczka. Biegała po korcie i była wyraźnie zadowolona. Nagrodę tę wygrał - nota bene - Zbigniew Chmielewski, ten sam, który zamówił u mnie ten tekst, no bo inaczej by nie zamawiał, więc po turnieju pojechaliśmy do Kameralnej na Foksal. Była to w tamtych latach kultowa wręcz restauracja. Kameralna to był symbol. Kameralna to był protest przeciwko komunie. Każdy, kto tu się napił, śpiewał „bolszewika goń, goń, goń", ale - o

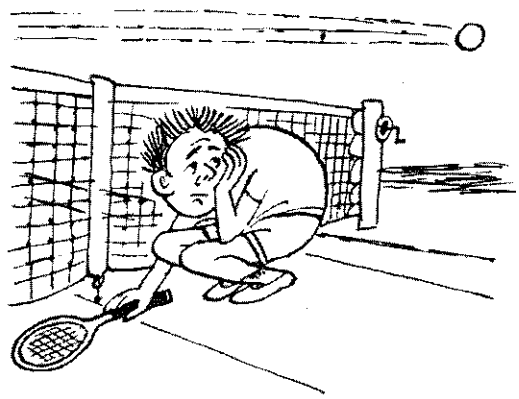

Rys. Zbigniew Lengren

dziwo - nie wszystkich zamykano za próbę obalenia ustroju, a w tamtych latach za takie numery od razu szło się siedzieć.

Kaczka wlazła na bar, a legendarny barman, pan Edward, odruchowo, jak wszystkim, nalał setkę. Trochę się zdziwiła, ale piła równo. Kaczka, mimo wszystko, może wypić mniej od człowieka, więc kiedy szliśmy wszyscy do następnej popularnej wtedy pijalni, czyli Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, to widok był taki: kaczka szła pierwsza, nogi się pod nią rozjeżdżały, waliła nosem w chodnik, ale zbierała się i szła dalej, jak człowiek, który wie, że musi się podnieść, bo musi się napić. Kaczkę rąbnął chyba Edward Dylawerski, korespondent zagraniczny polskiej prasy. Dylawerski zawsze czekał, aż dama się upije. Ale, jak się później okazało, skonsumował ją red. Zygmunt Głuszek, który we wszystkim wykazywał najwięcej cierpliwości. Przez długie lata wspominano pijaną kaczkę, która czołgała się, pełzała walczyła dzielnie, aby jednak dojść do baru.

Oto moje wspomnienie z turnieju w parku Agrykola, w roku 1961. Teraz trochę się zmieniło. Teraz nawet pijana kaczka nie stanowi żadnej zachęty. Jak nie ma paru tysięcy dolarów na nagrody, to nikt rakiety nie bierze do ręki.

JERZY IWASZKIEWICZ